





**DICK PHILIP K.**

**Ostatni pan i wladca**

# PHILIP K. DICK

[www.bookswarez.prv.pl](http://www.bookswarez.prv.pl)

Swiadomosc narastala w nim. Wracal niechetnie; te stulecia, nieznosne zmeczenie, kladly sie na nim ciezarem. Wznoszenie bylo bolesne. Zaskrzeczalby, gdyby mial czym. Zaczynal, w kazdym razie, odczuwac zadowolenie.

Osiem tysiecy razy wracal powoli w ten sam sposob, ze stale rosnaca trudnoscia. Któregos dnia nie da rady. Któregos dnia czarna plama pozostanie. Ale nie dzis. Nadal zyl; radosny triumf zdominowal ból i niechec.

–Dzien dobry – powiedzial przyjemny glos. – Co za piekny dzien mamy, prawda. Odsune zaslony i bedzie pan mógł wyjrzec. Widzial i slyszal. Lecz nie mógł sie poruszac. Lezal spokojnie i pozwalal ogarniac sie wszelkim wrazeniom z wnetrza pokoju. Dywany, tapeta, stoly, lampy, obrazy. Biurko i widekran. Pobliskujace zólte swiatlo sloneczne naplywajace zza okna. Blekitne niebo. Odlegle wzgórze. Pola, budynki, drogi, fabryki. Robotnicy i maszyny. Peter Green pracowicie wszystko porzadkowal, a twarz wienczył mu usmiech.

–Mnóstwo pracy dzisiaj. Mnóstwo ludzi chce sie z panem zobaczyc. Rachunki do podpisania. Decyzje do podjecia. Dzis jest sobota. Ludzie przyjada z odleglych sektorów. Mam nadzieje, ze ekipa naprawcza zrobila dobra robote. – I dodal szybko: – Naturalnie, ze zrobila. Rozmawialem z Fowlerem, kiedy tu szedlem. Wszystko jest pieknie wyreperowane.

Mily tenor mlodziencza mieszal sie z jasnym sloncem. Dzwieki i obrazy, ale nic poza tym. Nic nie czul. Spróbowal poruszyc ramieniem, lecz na prózno.

–Niech sie pan nie przejmuj – powiedzial Green, wyczuwajac jego przerazenie. Wkrótce tu beda z cala reszta. Wszystko z panem bedzie dobrze. Musi byc. Jak moglibysmy bez pana przetrwac? Odprezyl sie. Bóg jedyny wiedzial, ze dzarzal sie to dosc czesto przedtem. Zlosc tepo w nim wezbrala. Dlaczego nie potrafili sie skoordynowac'? Zebrac wszystko za jednym razem, a nie tak po kawalku. Bedzie musial zmienic im rozklad. Zeby sie lepiej zorganizowali. Za jasnym oknem podjechal niski, szeroki pojazd i stanal. Umundurowani ludzie wysypali sie licznie, zabrali pelne narecza sprzetu i pospieszyli w kierunku glównego wejscia do budynku.

–Wlasnie ida – zawolal Green z ulga. – Male spóznienie, co?

–Znowu korek uliczny – parsknal Fowler od wejscia. – Znowu cos jest nie w porzadku z systemem sygnalizacji. Dobrze byloby, gdybyście zmienili prawo drogowo. Ruch miejski przemieszal sie z zewnetrznym. Ze wszystkich kierunków

przestoje. Wokół niego było teraz ruchliwie. Ujrzał nad sobą niewyraźne kontury postaci Fowlera i McLeana, twarze jak dwa ogromne księżycy. Zaniepokojone spojrzenia profesjonalistów. Przewrócili go na bok. Stłumione rozmowy. Pospieszne szepty. Szczek narzędzi.

–Tutaj – mruknął Fowler. – A teraz tu. Nie, to później. Uważaj. A teraz przepuść tędy. Praca trwała w napiętej ciszy. Zdawał sobie sprawę z ich bliskości. Od czasu do czasu mgliste ich zarysy odcinały mu światło. Przekrecał na różne strony, rzucał jak worek maki. – Okay – powiedział Fowler. – Sklej taśmą.

Długa cisza. Spoglądał tępo na ściany, na lekko spłowiałą niebieskoróżową tapetę. Stary wzór pokazywał kobiecie w krynolinie, z małą parasolką na zgrabnym ramieniu. Biała bluzka z falbankami, małe szpice pantofelków. Zdziwająco czystości szczeciaków u jej boku.

Potem przewrócono go z powrotem, twarzą ku górze. Pięć postaci pojechiwało i wysiłało się nad nim. Palce biegły, mięśnie napinały się pod koszulami. W końcu wyprostowali się i wycofali Fowler wytarł pot z twarzy. Wszyscy byli spieci, oczy przymglone zmęczeniem.

–No, jazda – zgrzytliwie rzucił Fowler. – Włączaj.

Szok trzasnął go. Lapał powietrze. Ciało napięło się w łuk, a potem powoli osiadło. Jego ciało. Teraz już czuł. Eksperymentalnie poruszył ramionami. Dotknął swojej twarzy, barku, ściany. Ściana była realna i twarda. Nagle świat stał się znowu trójwymiarowy. Na twarzy Fowlera widac było ulgę. – Dzięki... Bogu. – Przygiął się ze zmęczenia. – Jak się czujesz?

Po pewnej chwili odpowiedział: – W porządku.

Fowler odesłał resztę ekipy. Green zaczął znowu scierać kurze w odległym kącie. Fowler usiadł na krawędzi łóżka i zapalił fajkę. – Teraz mnie posłuchaj – powiedział. – Mam złe wiadomości. Powiem ci tak, jak zawsze chcesz, prosto z mostu.

–O co chodzi? – zapytał natarczywie. Przyjrzał się palcom. Już wiedział. Fowler miał podkrążone oczy. Nie ogolił się. Twarz o kwadratowej szczeci była ściągnięta i mizerna. – Cała noc byliśmy na nogach. Pracując nad twoim systemem motorycznym. Jakos prowizorycznie skleciłiśmy, ale to długo nie wytrzyma. Nie więcej niż kilka miesięcy. To narasta. Podstawowe zespoły nie mogą być wymienione. Kiedy się zużywają, to już po nich. Możemy wspawać przekładniki i wlotować okablowanie, ale nie możemy naprawić tych pięciu cewek synoptycznych. Było tylko kilku ludzi, którzy potrafili je robić, ale nie żyją już od dwustu lat. Jeśli cewki przepala się...

–Czy występuje w nich jakaś degeneracja? – przerwał.

–Jeszcze nie. Na razie tylko w napedzie. Ramiona, w szczególności. To, co się dzieje z twoimi nogami, wkrótce stanie się z twoimi ramionami i ostatecznie z całym twoim systemem motorycznym. Do końca roku zostaniesz sparalizowany. Bedziesz w stanie widzieć, słyszeć i myśleć. I nadawać. Ale na tym koniec. – Dodał: – Przykro mi, Bors. Robimy wszystko, co możemy.

–W porządku – rzekł Bors. – Nie wasza wina. Dziękuję za to, że powiedziałeś mi wprost. Ja... zgadłem.

–Gotów jesteś do wyjazdu? Dzisiaj jest cała masa ludzi z różnymi problemami. Czeka, dopóki nie przyjedziesz.

–Ruszajmy. – Z wysiłkiem skoncentrował uwagę na szczegółach zajęć w tym dniu. – Chce przyspieszyć program badawczy w metalach ciężkich. Opóźnia się, jak zwykle. Może będzie musiał wycofać część personelu z pracy z tym związanej i skierować ich do generatorów. Wkrótce spadnie poziom wody. Chce rozpocząć przesył mocy na liniach, póki jeszcze jest moc do przesyłania. Kiedy tylko odwracam uwagę, wszystko wali się na łeb. Fowler dał znak Greenowi, który podszedł szybko. Obaj nachylili się nad Borsem i, stekając, podzwignęli go do góry, po czym zanieśli do drzwi i wzdłuż korytarza aż na zewnątrz. Położyli go w tym niskim, metalowym pojeździe, nowej małej ciężarówce naprawczej. Jej wypolerowana powierzchnia zaskakująco kontrastowała z jego powyszczerbiana, skorodowana, pocięta, poplamiona i wyżarta skorupa. Tępo wyglądająca, pokryta patyną maszyna z archaicznej stali i plastiku, która wydawała z siebie słabutkie, przerdzewiałe brzęczenie, gdy obaj ludzie wskoczyli na przednie siedzenie i z rykiem silnika wyjechali na główną szosę. Edward Tolby pocił się, podciągał plecak wyżej na ramionach, przechylał się do przodu szarpając ciężar, zaciskał pas z pistoletem i kłął.

–Tato – powiedziała Sylwia z nagana. – Przestani.

Tolby splunął z pasją w trawę na poboczu. Ramieniem otoczył swoją smukłą córkę. – Przepraszam, Sylwuniu. To nie do ciebie. To przez ten piekny upał.

Była połowa poranka i słońce wysyłało drżące słabe promienie na drogę pokrytą kurzem. Tępy pył unosił się i klebił wokół całej trójki, która mozolnie posuwała się do przodu. Ogarniało ich smiertelne zmęczenie. Masywna twarz Tolby'ego była zaczerwieniona i ponura. Z ust zwisał mu nie zapalony papieros. Duże, potężnie zbudowane ciało pochylało się z niechęcią. Płócienna koszula córki przylepiała się do ramion i piersi. Na plecach występowały ciemne księżycowate placki potu. Mięśnie jej ud drgały ze zmęczenia pod dzinsami. Robert Penn siedział trochę z tyłu za dwójką Tolbych, ręce miał głęboko w kieszeniach, wzrok skierowany przed siebie na drogę. W głowie odczuwał pustkę; był na polu usypionym po podwójnej dawce heksobarbituratu, jaką lyknął w ostatnim obozie Ligi. No i ten usypiający upał. Po obu stronach drogi ciągnęły się pola i pastwiska pełne trawy i chwastów, tu i ówdzie

pojedyncze drzewa. Zwalona zagroda. Starożytne porzewiale pozostałości schronu atomowego sprzed dwu stuleci. W jakiejś chwili pare utylanych owiec.

–Owce – odezwał się Penn. – Zbyt nisko wyzerają trawę. Nie odrosnie.

–Znalazł się rolnik, co? – powiedział Tolby do córki.

–Tata – uciela Sylwia. – Przestaj być wredny.

–To ten upał. Ta cholerna gorączka – Tolby zaklął znowu, głośno i z poczuciem bezsensu.

–To niewarte zachodu. Za dziesięć różowych wróciłbym i powiedział im, że te informacje są głównie wartościowe. Może i są, skoro o tym mowa powiedział Penn łagodnie.

–Dobrze, dobrze, to wracaj – rzekł Tolby mrukliwie. – Wracaj i powiedz im, że to kupa nonsensu. Może ci medal przypnie. Może dostaniesz awans o jeden stopień wyżej. Penn roześmiał się.

–Zamknijcie się oboje. Przed nami jakaś miejscina.

Masywne ciało Tolby'ego wyprostowało się ochoczo. – Gdzie? – reka przysłonił oczy. – Na. Boga, on ma rację. Jakaś wioska. I to nie fatamorgana. Widzicie, prawda? – Wrócił mu dobry humor i już zacierał swoje grube łapy. – No, jak tam, Penn. Pare piwek, pare razy w kosci z tutejszymi wiesniakami, a może nawet na noc zostaniemy. – W przewidywaniu tego wszystkiego oblizł swe tłuste wargi. – Niektóre z wsiowych dziewczuch, no, wiesz, tych co to zawsze blisko gorzałosklepów...

–Wiem, o których mówisz – wtracił Penn. – Te, co to zawsze przemęczone z braku zajęcia. Co to chcą do dużych osrodków. Żeby im jakiś facet zawsze kupował różne mechanogratory i wozil po różnych miejscach. W pobliżu drogi jakiś farmer obserwował ich ze zdziwieniem. Zatrzymał konia i stał pochylony nad swoim prymitywnym plugiem, w kapeluszu zsuniętym na tył głowy.

–Jak się to miejsce nazywa? – krzyknął Tolby.

Przez chwilę farmer milczał. Był to stary i chudy mężczyzna o wyniszczonej cerze. – Ta miejscowość? – powtórzył.

–No tak, ta przed nami.

–To ładna miejscowość. – Farmer wlepił oczy w całą trójkę. – Aście już tu kiedy byli?

–Nie, proszę pana – odrzekł Tolby. – Nigdy.

**–Co, wysiadło wam?**

**–Nie, jesteśmy pieszo.**

**–A ile to drogi zrobili?**

**–Będzie ze sto pięćdziesiąt mil. Farmer przyglądał się ich ciężkim plecacom. Ich podkutym butom marszowym. Zakurzonej**

**odzieży i wymęczonym, oblanym potem twarzom. Dzinsom i plóciennym koszulom. Laskom pielgrzymim z żelazytu.**

**–To kawał drogi – powiedział. – Jak daleko jeszcze?**

**–Jak nam się spodoba – odpowiedział Tolby. – Jest tam się gdzie zatrzymać? Hotel? Zajazd? To miasto powiedział farmer – to Fairfax. Jest tu tartak, jeden z najlepszych na świecie. Kilka zakładów ceramicznych. Jedno takie miejsce, gdzie można sobie na maszynie zesciubolic jakieś odzienie. I rusznikarnia, gdzie robią najlepszy srut po tej stronie Gór Skalistych. No i piekarnia. Jest też stary lekarz i adwokat. I pare osób, co to mają książki do uczenia dzieciaków. Przyjechali tu z gruzlicą. Taka jedna stara stodoła przerobili na szkole.**

**–A jak duże jest to miasto? – zapytał Penn.**

**–Kupa luda. Nowe się rodzą gesty. Starzy umierają. Dzieciaki umierają. W zeszłym roku mieliśmy gorączkę. Chyba że setka dzieciaków zmarła. Lekarz powiedział, że to przez studnie. Tośmy zamknęli studnie. Ale dzieciaki i tak umierały. Lekarz powiedział, że to od mleka. Tośmy połowę krów wygnali. Ale nie moje. Stałem tam ze strzelbą i walnąm do pierwszego, który przyszedł moje krowy przegnać. Dzieciaki przestały zdychać, jak jesień przyszła, myślę, że to było z upału.**

**–Pewnie, że jest gorąco – zgodził się Tolby.**

**–Tak, tak, tu bywa gorąco. Trudno o wodę. – Po starej twarzy przemknął mu cwano-sprytny wyraz. – A może byś się napił? Ta młoda dama wygląda na mocno zmęczoną. Mam butelki z wodą pod chłupą. W błocie. Dobra, zimna. – Zawahał się. – Po jednym różowym od szklanki. Tolby rozesmiał się. – Nie, dzięki.**

**–Dwie szklanki za różowego – powiedział farmer.**

**–To nas nie interesuje – rzekł Penn. Puknął w manierkę i cała trójka ruszyła w drogę. – Do zobaczenia.**

**Twarz farmera stezała. – Cholerne cudzoziemskie nasienie! – powiedział pod nosem. Ze złością zabrał się znowu do orki.**



Miasto było milczące w spiekocie. Muchy bzykały i siadały na zadach otepiałym, przywiązanych do słupków koniom. Tu i ówdzie stało parę zaparkowanych samochodów. Ludzie poruszali się apatycznie po chodnikach ulicznych. Starzy mężczyźni o chudych ciałach drzemali na gankach. Psy i kury spały w cieniu pod domami. Domy były małe, drewniane, z podziobanych i luszczących się desek, pochylone i niezgrabne – i stare. Spaczone i popekane od wieku i upalu. Wszędzie zalegał kurz. Gruba pokrywa wysuszonego pyłu, na spekanych domach, ludziach o tepych twarzach i zwierzętach.

Dwóch wysokich i szczupłych mężczyzn wyszło do nich z otwartych drzwi. – Kto wy? Czego chcecie?

Zatrzymali się i wyjęli dowody tożsamości. Mężczyźni starannie obejrzyli karty zatopione w plastiku. Fotografie, odciski palców, wszystkie dane. Wreszcie im oddali.

–AL – rzekł jeden z nich. – Naprawdę jesteście z Ligi Anarchistów?

–Tak jest – powiedział Tolby.

–Nawet ta dziewczyna? – Mężczyźni patrzyli na Sylwie pozadliwie. – Coś wam powiemy. Dajcie nam dziewczynę na trochę, darujemy wam podatek od każdej osoby, wiecie, pogłównie.

–Nie rób sobie żartów – zaburczał Tolby. – Od kiedy to Liga płaci pogłównie albo jakiegokolwiek podatki. – Przepchnął się obok tych dwóch z niecierpliwością. – Gdzie jest sklep z wodą? Umieram!

Dwupiętrowy budynek stał po ich lewej stronie. Mężczyźni porozkładani na ganku obserwowali ich nieobecny wzrokiem. Penn ruszył do przodu i dwoje Tolbych za nim. Wyblakły,

złuszczony napis na froncie brzmiał: PIWO, WINO Z BECZKI.

–To tu – powiedział Penn. Poprowadził Sylwie pokrzywionymi schodami do środka, mijając

mężczyzn. Za nimi wszedł Tolby, odpinając z zadowoleniem plecak po drodze.

Lokal był chłodny i ciemny. Paru mężczyzn i kilka kobiet stało przy barze, reszta siedziała przy

stolikach. Kilku młodych ludzi grało w rzucankę w tylnej części sali. Mechaniczny muzykacz

**zgrzytał i komponował w rogu sali; była to niedźna maszyna na wpół zrujnowana i tylko**

**częściowo działająca. Za barem jakiś prymitywny obrazomat tworzył i kasował rozmazane**

**fantasmagorie: widoki morza, szczytów górskich, dolin pokrytych śniegiem, wielkich**

**pofalowanych wzgórz, nagiej kobiety, pojawiającej się ulotnie, a potem rozmywającej się w**

**jedną olbrzymią pierś. Niezbyt widzialny ciąg niepewnych obrazów, których nikt nie zauważał i**

**nie przyglądał się im. Sam bar był niewiarygodnie stara płyta przezroczystego plastiku,**

**poplamiona, obtłuczona i pozółkła ze starości. Jego powłoka z jednego końca rozleciała się; w**

**miejsce tym podierały ją cegły. Mikser do drinków i koktajli rozpadł się. Podawano jedynie**

**piwo i wino. Żaden z żyjących ludzi nie wiedział, jak sporządzić najprostszy drink.**

**Tolby podszedł do baru. – Piwo – powiedział. Trzy piwa. – Penn i Sylwia zasiedli przy stoliku,**

**zdejmując plecaki, podczas gdy barman podawał Tolby'emu trzy kufle ciężkiego, ciemnego piwa.**

**Pokazał swoją kartę i zaniósł kufle do stolika.**

**Młodzi ludzie na końcu sali przestali grać. Obserwowali całą trójkę popijającą piwo i rozsznurowującą ciężkie buty. Po chwili jeden z nich powoli zbliżył się.**

**–Słuchajcie powiedział. – Jesteście z Ligi, tak?**

**–Tak jest sennie wymamrotał Tolby.**

**Wszyscy w barze patrzyli i słuchali. Młody człowiek usiadł naprzeciwko całej trójki, jego towarzysze stoczyli się w podnieceniu dookoła, obsiadając ich ze wszystkich stron. Młodociani z miasteczka. Znużeni, niespokojni, rozgoryczeni. Oczy ich zanotowały laski wedrownicze z żelazytu, pistolety, ciężkie, podkute metalem buty. Słychać było szmer szeptań. Mieli po około osiemnastu lat. Opaleni, kowbojowaci.**

**–Jak można się do niej dostać – bezpardonowo zapytał jeden z nich.**

**–Do Ligi? – Tolby przechylił się do tyłu w krzesle, znalazł zapalke i zapalił papierosa. Rozpiął pas, głośno beknał i rozsiadł się z zadowoleniem. – Poprzez egzamin.**

**–A co trzeba wiedzieć?**

**Tolby wzruszył ramionami. – Prawie wszystko. – Beknał ponownie i z namysłem podrapał się po piersi, między dwoma guzikami. Był świadom obecności pierscienia ludzi ze wszystkich stron. Jakis drobny staruszek z broda i w okularach w rogowej oprawie. Przy innym stoliku wielki jak beka facet w czerwonej koszuli i spodniach w niebieskie prążki, z ogromnym wystającym brzuchem.**

**Młodzi, farmerzy. Jakis Murzyn w brudnej białej koszuli i spodniach, z książką pod pachą. Jakas blondyna z kanciastą szczeką, włosami w siatce, czerwonymi paznokciami, na wysokich obcasach, w obcisłej żółtej sukience. Siedziała z jakimś siwowłosym biznesmenem w ciemnobrazowym garniturze. Jakis wysoki młody człowiek trzymający się za ręce z młodą, czarnowłosa dziewczyną. Miała wielkie oczy, miękka biała bluzka i spódniczka, małe pantofelki, kopnięte pod stół. Przebierała pod stołem nagimi, opalonymi nogami, szczuplutkie ciało było pochylone do przodu z zainteresowaniem.**

**–Musicie wiedzieć – powiedział Tolby – jak Liga powstała. Musicie dowiedzieć się, jak wtedy**

**obalaliśmy rządy. Obalaliśmy i niszczyliśmy. Spaliliśmy wszystkie budynki i wszystkie**

**dokumenty. Miliardy mikrofilmów i papierów. Ogromne ogniska, które plonęły tygodniami. I**

**całe roje żyjatek, które wysypywały się, gdy rujnowaliśmy budynki.**

**–Zabiliscie je? – wyszeptal drzacymi wargami grubas.**

**–Pusciliśmy. Były nieszkodliwe. Uciekały i chowały się. Pod kamieniami. – Tolby zasmiał się. – Małe takie, rozbiegane. Insekty. Potem zebraliśmy wewnątrz budynków wszystkie dokumenty i zapiski oraz wyposażenie do ich sporządzania. Boże, spaliliśmy wszysciutenko.**

**–I roboty też? – zapytał młodzieniec.**

**–Tak, rozwaliliśmy wszystkie rządowe roboty. Nie było ich wiele. Były używane jedynie na wysokich szczeblach. Kiedy trzeba było integrować liczne fakty.**

Młody człowiek wybaluszył oczy. – Widzieliście je? Byliście tam wtedy, gdy rozwalali roboty? Penn zaśmiał się. – Tolby ma na myśli Lige. To było dwadzieścia lat temu. Młody człowiek skrzywił się w nerwowym uśmiechu. – Tak. Opowiedz nam o tych marszach. Tolby osuszył kufel i odepchnął go od siebie. – Skonczyło mi się piwo. Kufel został szybko napelniony ponownie. Wymamrotał podziękowania i ciągnął dalej głosem głębokim i trochę rozmazanym, przytepionym zmęczeniem. – Marsze. Mówią, że to naprawdę była duża rzecz. Na całym świecie ludzie powstawali, porzucali wszystko, co robili.

–To się zaczęło w Niemczech Wschodnich – odezwała się blondyna o kanciastej szczecie. – Te rozruchy.

–Potem rozszerzyło się na Polskę – niesmiało dorzucił Murzyn. – Mój dziadek opowiadał mi, jak wszyscy wysiadali przed telewizorem i słuchali. Jego dziadek zwykł mu opowiadać. To się rozprzestrzeniło na Czechosłowację, potem na Austrię i Rumunię, i Bułgarię. A potem Francja. I Włochy.

–Francja była pierwsza! – Staruszek z brodą i w okularach w rogowej oprawie wykrzyknął gwałtownie. – Byli bez rządu całutki miesiąc. Ludzie zobaczyli, że można żyć bez rządu!

–Zaczęło się od marszów – czarnowłosa dziewczyna wprowadziła poprawkę. – Wtedy po raz pierwszy zaczęli burzyć budynki rządowe. W Niemczech Wschodnich i w Polsce. Wielkie watahy nie zorganizowanych robotników.

–Rosja i Ameryka były na koncu – powiedział Tolby. Gdy ruszył marsz na Waszyngton, to było nas około dwudziestu milionów. Wtedy byliśmy potężni! Nie mogli nas zatrzymać, kiedy wreszcie ruszyliśmy.

–Duzo ludzi zastrzelili – powiedziała blondyna z twardą szczecą.

–To jasne. Ale ludzie wciąż nadchodzili. I krzyczeli do żołnierzy: – "Hej, Bill! Nie strzelaj! Hej, Jack! To ja, Joe! Nie strzelaj – jesteśmy przyjaciółmi! Nie zabijajcie nas, chodźcie z nami!" No i, na Boga, po jakimś czasie to zrobili. Nie mogli wciąż strzelać do własnych ludzi. W końcu porzucili broń i wynieśli się.

–I wtedy znaleźliście to miejsce – powiedziała bez tchu mała czarnowłosa dziewczyna.

–Tak. Znaleźliśmy to miejsce. Szesc takich miejsc. Trzy w Ameryce. Jedno w Brytanii. Dwa w Rosji. Zabrało nam dziesięć lat, żeby znaleźć to ostatnie miejsce i zadbać, żeby naprawdę było to ostatnie.

–A co potem? – zapytał młody człowiek, któremu oczy wychodziły z orbit.

–Potem rozwalilismy kazda z nich. – Tolby uniósł sie, masywny mezczyzna, w dloni kufel piwa, ciezka twarz mocno poczerwieniala. – Kazda cholerna bombe atomowa w calym swiecie. Zapanowala niezreczna cisza.

–Tak – wybakal mlodzieniec. – No, toscie zalatwili tych ludzi wojny.

–Juz ich wiecej nie bedzie – powiedzial gruby jak beczka czlowiek. – Znikneli na zawsze. Tolby przebieral palcami po swojej zelazytowej lasce. – Moze tak. A moze i nie. Moglo sie jeszcze paru z nich uchowac.

–Co masz na mysli? – dopytywal sie beczkowaty. Tolby podniósł twarde spojrzenie szarych

oczu. – Pora, zebyscie ludzie przestali z nas kpic. Dobrze, do cholery, wiecie, co mam na mysli. Slyszelismy pogloski. Gdzies tu, w poblizu, jest ich cala kupa. Ukrywaja sie. Najpierw zszokowane niedowierzanie, a potem zlosc przechodzaca z szumu w ryk. – To klamstwo! – wrzasnal gruby.

–Czyzby?

Malutki staruszek z broda i w okularach podskoczyl. – Nikogo tu nie ma, co by mial cos wspólnego z rzadami. Tu sa sami dobrzy ludzie!

–Lepiej uwazaj, co mówisz – powiedzial miękko do Tolby'ego jeden z mlodocianych. – Tutaj

naród nie lubi, gdy sie go obraza.

Tolby podniósł sie niepewnie na nogi, sciskajac mocno laske zelazytowa. Obok podniósł sie Penn i obaj stali razem. – Jesli ktos z was cos wie – powiedzial Tolby – to lepiej mówcie. Ale juz.

–Nikt nic nie wie – rzekla blondyna o twardych rysach. – Rozmawiacie z uczciwymi ludzmi.

–No wlasnie – powiedzial Murzyn, potakujac glowa. – Nikt tu niczego zlego nie robi.

–Wyscie nas zbawili – powiedziala czarnowlosa dziewczyna. – Gdybyscie tych rzadów nie obalili, to wszyscy zginelibysmy podczas wojny. Dlaczego mielibysmy cos przed wami ukrywac?

–To prawda – beczkowaty facet zaczal narzekajaco. – Nie bylibysmy zywi, gdyby nie Liga. Czy sadzicie, ze zrobilibysmy cos wbrew Lidze?

–No – powiedziala Sylwia do ojca. – Chodzmy. – Wstala i rzucila Pennowi jego

plecak. Tolby mamrotal coś wojowniczo, wreszcie wziął swój plecak i podniósł go na barki. W pomieszczeniu panowała śmiertelna cisza. Wszyscy stali jak zamrozeni, gdy cała trójka pozbiierała swoje rzeczy i ruszyła w kierunku drzwi.

Młoda ciemnowłosa dziewczyna zatrzymała ich. – Następne miasto jest o trzydzieści mil stąd -powiedziała. – Droga jest zablokowana. Skąpy zamknął ją wiele lat temu. – A może byście u nas przenocowali. Mamy u siebie dużo miejsca. Możecie odpocząć i ruszyć dalej z samego rana.

–Nie chcemy się narzucać – mruknęła Sylwia.

Tolby i Penn popatrzyli na siebie, potem na dziewczynę. – Jeśli jesteś pewna, że starczy miejsca... Beczka podszedł do nich. – Słuchajcie, mam tu dziesięć złotych. Chce je wam oddać dla Ligi. W zeszłym roku sprzedałem swoją farmę. Więcej tych papierków mi nie trzeba; mieszkam z bratem i jego rodziną. Wsunął rękę z kwitkami w kierunku Tolby'ego. – Macie, weźcie. Tolby odsunął wyciągniętą rękę. – Zatrzymaj je.

–Tedy – powiedział wysoki młody mężczyzna, kiedy schodzili hałasliwie po uginających się schodach, prosto w nagłą zaslone kurzu i spiekoty. – Mamy samochód. Tedy. Taki stary wóz na benzynę. Mój tata go przerobił i teraz jeździ na oleju.

–Powinieneś być wziąć te kwitki – odezwał się Penn do Tolby'ego, gdy wsiedli do staroswieckiego, porozbijanego samochodu. Muchy bzykały wokół nich. Mogli z ledwością oddychać; samochód był jak piec. Sylwia wachlowała się jakimś zwiniętym papierem. Czarnowłosa dziewczyna rozpięła bluzkę.

–Na co nam pieniądze – zaśmiał się dobrodusznie Tolby. – Za nic w życiu nie placilem. I ty też nie.

Samochód kichnął i wolno wyjechał na drogę. Zaczął nabierać szybkości. Motor strzelał i ryczał. Wkrótce poruszał się zadziwiająco szybko.

–Przyjrzałeś się im – powiedziała Sylwia przekrzykując hałas. – Oni oddaliby nam wszystko, co

mają. Myszy im uratowały życie. – Pomachała ręką w stronę pól, farmerów i ich prymitywnych

sprzętów, zwiedłych zbiorów. przygiętych do ziemi chałup. – Wszyscy byłiby nieżywi, gdyby nie

Liga. – Zabijała muchę z pasją. – Oni od nas zależą.

**Czarnowłosa dziewczyna odwróciła się w ich stronę, gdy samochód pedził po rozsypanej się drodze. Na opalonej skórze wystąpiły struzki potu. Jej na wpół przykryte piersi drżały od ruchu samochodu. – Jestem Laura Davis. Mamy z Petem stara wiejska chatę, która dał nam jego ojciec, kiedyś się pobrali.**

**–Możecie się rozgospic na całym parterze – powiedział Pete. – Nie ma elektryczności, ale jest duży kominek. W nocy bywa zimno. W ciągu dnia jest gorąco, ale gdy słońce zajdzie, robi się strasznie zimno.**

**–Damy sobie radę – mruknął Penn. – Z powodu wibracji samochodu zaczęło mu się robić niedobrze.**

**–Tak – powiedziała dziewczyna z błyskiem w czarnych oczach. Jej karminowe usta zacisnęły się. Pochyliła się specjalnie w stronę Penna, twarz jej dziwnie jaśniała. – Tak, zajmiemy się wami, zajmiemy.**

**W tym momencie samochód wyleciał z szosy.**

**Sylwia rozdzierająco krzyknęła. Tolby rzucił się w dół, z głową pomiędzy nogami, zwinięty w kule. Nagła zasłona zielonej barwy wybuchła wokół Penna. A potem przyprawiająca o mdłości pustka, gdy samochód spadał. Uderzył z ryczącym hałasem, który wytlumił wszystko inne. Jakis tytaniczny kataklizm furii, która uniosła Penna i rozrzuciła jego szczatki we wszystkich kierunkach.**

**–Posadźcie mnie – rozkazał Bors – na chwilę na platformie, zanim wejde do środka.**

**Zaloga opuściła go na betonową powierzchnię i umocowała na miejscu magnetyczne chwytaki.**

**Mężczyźni, kobiety spieszyli szerokimi schodami do góry, ludzie wchodzili i wychodzili z**

**potężnego budynku. w którym były główne biura Borsy. Widok tych schodów sprawiał mu**

**przyjemność. Lubiał przystawać tutaj i rozglądać się po swoim świecie. Po cywilizacji, która sam**

**z pietyzmem zbudował. Każdy element starannie odtwarzany, skrupulatnie z nieskonńczoną**

**troską, przez lata.**

**Nie było to ogromne. Ze wszystkich stron otoczone górami. Dolina była płaska misa osłonięta ciemnofioletowymi wzgórzami. Na zewnątrz, poza wzgórzami, zaczynał się**

zwykly swiat. Wyszuszone na wiór pola. Porozwalane, dotkniete nedza miasta. Rozsypujace sie szosy. Pozostalosci budynków, rozpadajace sie domy i pomieszczenia farmerskie. Zrujnowane samochody i maszyna. Pokryci kurzem ludzie, apatycznie lazacy po terenie, w recznie szytej odziezy, obdartych szmatach i lachmanach. Widzial ten zewnetrzny swiat. Wiedzial, jaki on byl. W górach, twarze bez wyrazu, choroba, zwiedle zbiory, prymitywne plugi i konczace sie staroswieckie narzedzia. Tutaj, wewnatrz pierścienia wzgórz, Bors skonstruowal wierna i szczególowa reprodukcje spoleczenstwa sprzed dwóch stuleci. Swiat, jaki byl za dawnych dni. Czasu rzadów. Czasu, który zostal powalony przez Lige Anarchistów.

W jego pieciu cewkach synoptycznych byly plany, wiedza, informacja, gotowe schematy calego swiata. W ciagu tych dwóch stuleci starannie zrekonstruowal ten swiat, stworzyl to miniaturowe spoleczenstwo, które blyszczalo i tetnilo zyciem, we wszystkich jego przejawach. Drogi, budynki, przemysly martwego swiata, wszystko to stanowiace fragment przeszlosci, zbudowane jego własnymi rekami, jego własnymi metalowymi palcami i mózgiem.

–Fowler – odezwal sie Bors.

Fowler podszedl. Wygladal nieszczególnie. Mial zaczerwienione i podpuchniete oczy. – O co chodzi? Chcesz wejsc do srodka?

Ponad glowa przetoczyl sie z grzmotem poranny patrol. Sznur czarnych punkcików na tle slonecznego, bezchmurnego nieba. Bors patrzyl z satysfakcja.

–Imponujacy widok.

–Punktualnie co do sekundy – Fowler zgodzil sie, spogladajac na swój reczny zegarek. Po prawej stronie kolumna ciezkich czolgów posuwala sie wezykiem wzdluz szosy pomiedzy zielonymi polami. Lufy ich dzial polyskiwaly. Za nimi maszerowala kolumna piechoty, ich twarze schowane za maskami przeciwbakteryjnymi.

–Mysle sobie, ze moze to niemadre ufac dalej Greenowi.

–Dlaczego, do diabla, tak mówisz?

–Co dziesiec dni jestem unieruchamiany. Tak, aby twój zespól mógł zobaczyc, jakie naprawy sa potrzebne. – Bors krecil sie niespokojnie. – Przez dwanasce godzin jestem kompletnie bezsilny. Green zajmuje sie mna. Doglada, aby nic sie nie stalo. Ale...

–Ale co?

–Przychodzi mi do glowy, ze moze byloby bezpieczniejsze w jakims oddziale zolnierzy. To zbyt duza pokusa dla jednego samotnego czlowieka.



Fowler zawył. – Nie rozumiem tego. A co ja? Nadzoruje twoje badania. Mógłbym pare kabelków poprzelaczac. Puscic duzy ladunek przez twoje cewki synoptyczne. Rozsadzic je. Bors zawirowal gwałtownie, potem uspokoil sie. – To prawda. Mógłbys to zrobic. – Po chwili spytal: – A co bys z tego mial? Wiesz, ze jestem jedyny, który moze to wszystko trzymac razem. Jestem jedyny, który wie, jak prowadzic planowe spoleczenstwo, nie jakis rozpasany chaos! Gdyby nie ja, to wszystko by sie rozpadlo i mialbys kurz, ruiny i chwasty. Caly zewnetrzny swiat przygnalby przejac wszystko.

–Oczywiscie. No to po co martwic sie Greenem?

Z hukiem przejezdzały ciężarówki pełne robotników. Mnóstwo ludzi w niebieskozielonych kombinezonach, rekawy podwiniete, narecza narzedzi. Jakis zespól górniczy udajacy sie w góry.

–Zaniescie mnie do srodka – nagle odezwal sie Bors. Fowler wezwal McLeana. Podniesli Borsę i przeszli z nim obok mas ludzi, do budynku, wzdluz korytarza az do jego biura. Wyżsi urzednicy i technicy ustepowali z drogi z szacunkiem, gdy wielki, poszczerbiony i skorodowany zbiornik byl przenoszony obok nich.

–W porzadku – powiedzial niecierpliwie Bors. – To wszystko. Mozecie odejsc. Fowler i McLean opuscili pelne przepychu biuro, z jego wspanialymi dywanami, meblami, draperiami i rzędami ksiazek. Bors pochylal sie juz nad swym biurkiem, sortujac sterty sprawozdan i papierów. Fowler pokiwal glowa, gdy przechodzili wzdluz hollu.

–On juz dlugo nie pociagnie!

–System napędu? Nie mozemy wzmocnic tego...?

–Nie o to mi chodzi. On sie rozpada psychicznie. Juz nie wytrzymuje napiecia.

–Nikt z nas nie wytrzymuje – baknal McLean.

–Kierowanie tym wszystkim to dla niego za duzo. Swiadomosc, ze to wszystko zalezy od niego. Swiadomosc, ze gdy tylko odwróci sie lub troche sobie odpusci, to wszystko zacznie pekac w szwach. To cholerna robota tak próbować wylaczyc realny swiat. Utrzymac swój model wszechswiata w dzialaniu.

–Juz calkiem dlugo to robi – rzekl McLean.

Fowler zamyslil sie na glos. – Predzej czy później bedziemy zmuszeni stanac wobec tej sytuacji. – Z przygnebieniem przesunal palcami po ostrzu duzego srubokreta. – On sie zuzywa. Predzej czy później ktos bedzie musial wkroczyć. Wraz z jego postepujacym rozkladem... – Wepchnal srubokret z powrotem za pas, razem z obcegami i mlotkiem oraz lutownica. – Jeden skrzyzowany drucik.

**–Co ty mówisz?**

**Fowler zasmiał się. – Ja to wszystko przy nim robie. Wystarczy skrzyżować jeden drucik i... bec. No, ale co potem? Oto wielkie pytanie.**

**–Może – powiedział łagodnie McLean – ty i ja, wyszlibyśmy z tego zwariowanego wyścigu szczurów. Ty i ja, i cała nasza reszta. I zylibyśmy jak ludzie.**

**–Gonitwa szczurów – Fowler zamamrotał. – Szczury w labiryncie. Wyczyniające sztuczki. Wykonujące nudne zajęcia wymyślone przez kogoś innego. McLean przechwycił spojrzenie Fowlera. – Przez kogoś z innego gatunku. Tolby walczył niepewnie. Cisza. Jakies ciche kapanie w pobliżu. Jakas belka przygniatała go. Ze wszystkich stron otoczony był częściami wraka samochodu.**

**Głowe miał w dole. Samochód był na boku. Zleciał z szosy do parowu, wklinał się między dwa duże drzewa. Pogiety i rozbabrany metal dokola, wsporniki i inne części. I ciała. Z całej siły pchał do góry. Belka ustąpiła i udało mu się przyjąć pozycję siedzącą. Konar drzewa przebił przednią szybę. Czarnowłosa dziewczyna, wciąż odwrócona w kierunku tylnego siedzenia, była tym konarem przebita. Galaz przeszła przez jej kregosłup, wyszła od strony piersi i wbiła się w siedzenie wozu; dziewczyna obejmowała ją dłońmi, głowa jej zwisała, usta były na w pół otwarte. Mezczyzna obok niej też nie żył. Był bez rak; przednia szyba rozsypała się wokół niego. Leżał niby sterta wśród pozostałości po tablicy kontrolnej i własnych, polyskujących krwawo wnętrzności.**

**Penn nie żył. Szyja złamała mu się jak przegnęły kij od szczotki. Tolby przepchnął jego zwłoki na bok i przyjrzał się córce. Sylwia ani drgnęła. Przyłożył ucho do jej karku i nadsluchiwał. Żyła. Serce jej słabiotko biło. Biust jej unosił się i opadał pod jego uchem. Owinał chustkę wokół krwawiącej rany na jej ramieniu. Była okropnie pokaleczona i podrapana; jedna noga podwójnie złożona, najwyraźniej złamanie. Ubiór miała podarty, włosy sklezione krwią. Ale żyła. Wypchnął pogięte drzwi i wygramolił się. Uderzył w niego ognisty jezioro popołudniowego słońca. Tolby zaczął uwalniać jej bezwładne ciało z samochodu, obok pogiętej ramy drzwiowej. Dźwięk.**

**Tolby spojrzał do góry, zeszywniały. Coś się zbliżało. Brzezacy insekt gwałtownie tracący wysokość. Pusczył Sylwie, przykucnął, rozejrzał się wokół, potem chwiejnie wszedł w parów. Slizgał się, padał i toczył między zielonymi pedami i poszarpanymi szarymi fragmentami skal. Sciskając w reku bron, leżał w wilgotnym cieniu lapiąc oddech i zerkal do góry. Insekt wylądował. Mały statek powietrzny, napędzany silnikiem odrzutowym. Widok ten oszłomił go. Słyszał o odrzutowcach, widział ich zdjęcia. Brał udział w instruktazie i wykładach z indoktrynacji historycznej na kursach w obozach Ligi. Ale zobaczyc odrzutowiec! Ze środka wysypali się ludzie. Umundurowani ludzie, którzy zeszli z drogi i ruszyli w dół po stoku jaru, idąc ostrożnie w stronę rozbitego samochodu. Mieli ciężkie karabiny. Wyglądali groźnie. Z**

**duza wprawa wyrwali drzwi samochodu i wcisneli sie do srodka.**

**–Jeden uciekl – dolecial go jakis glos.**

**–Musi byc niedaleko.**

**–Patrzcie, ta jedna zyje! Ta kobieta. Zaczela wyczolgiwac sie. Reszta nie zyje. Wsciekle przeklenstwa. – Cholerna Laura! Powinna byla wyskoczyc! Glupia, fanatyczna wariatka!**

**–Moze nie miala czasu. O rany, to przebilo ja cala. – Przerazenie i zszokowane rozczarowanie. – Chyba nie damy rady jej z tego zdjac.**

**–Zostawcie ja. Oficer kierujacy akcja ruchem reki nakazal opuszczenie samochodu.  
– Zostawic wszystkich.**

**–A co z ta ranna?**

**Lider zawahal sie. – Zabic – powiedzial wreszcie. Pochwycil karabin i podniosl kolbe. – Pozostali**

**rozsypac sie w tyraliere i próbowac go zlapac! On prawdopodobnie...**

**Tolby wystrzelil i cialo lidera przelamalo sie na pol. Dolna czesc osuwala sie powoli; górna**

**rozsypala sie w spopielalych fragmentach. Tolby wykonal zwrot i zaczal posuwac sie po malym**

**kregu, ciagle strzelajac. Trafil jeszcze dwóch, zanim reszta wycofala sie w panice do**

**odrzutowego owada, zatraskujac drzwi. Poczatkowo mial za soba element zaskoczenia. Teraz to**

**minelo. Mieli nad nim przewage. Jego los byl przesadzony. Insekt wlasnie unosil sie. Moga z**

**latwoscia dostrzec go z góry. Ale ocalil Sylwie. To bylo cos.**

**Potykajac sie ruszyl wzdluz wyschnietego lozyska rzeczki. Biegl bez celu; nie mial teraz gdzie**

**sie udac. Nie znal tej okolicy i byl pieszo. Poslizgnawszy sie na kamieniu upadl do przodu calym**

**cialem. Ból i klebiaca sie ciemnosc uderzyly wen, gdy usilowal chybotliwie uniesc**

się na kolana.

Zgubił pistolet gdzieś w krzakach. Pluł krwią i powylamywanymi zębami. Spojrzał z niepokojem

na rozgorzałe popołudniowe niebo.

Insekt odlatywał. Brzeczac, przemieszczał się w stronę odległych wzgórz. Robił się coraz

mniej, jak czarna kula, potem jak ślad po muszce, aż zniknął.

Tolby odczekał chwilę. Potem wytaszczył się po zboczu rozpadliny do rozbitego samochodu.

Polecieli po pomoc. Wróca. Teraz była jego jedyna szansa. Gdyby tak mógł wydobyć Sylwie i

gdzieś ją po drodze schować. Może w jakiegoś zagrodzie. Wrócić do miasta.

Dotarł do samochodu i stanął jak wryty. Trzy ciała pozostały, dwa na przednim siedzeniu, Penn z

tyłu. Ale Sylwii nie było.

Zabrali ją ze sobą. Tam skąd przybyli. Powlekli ją do tego odrzutowego owada, ścieżka krwi

ciągnęła się od samochodu po zboczu jaru do szosy.

Gwałtownym ruchem zebrał się w sobie. Wdrapał się do samochodu i uwolnił pistolet Penna z

jego pasa. Laska żelazkowa Sylwii leżała na siedzeniu; zabrał ją również. Potem ruszył droga,

bez pośpiechu, ostrożnie.

Ironiczna myśl ciągle przychodziła mu do głowy. Znalazł to, czego szukali. Ludzi w mundurach.

Byli zorganizowani, podlegali jakiegoś centralnej władzy. W nowo zbudowanym odrzutowcu.

Za wzgórzami był jakiś rząd.

**–Prosze pana – powiedzial Green. – Nerwowym ruchem wygladzil swe jasne wlosy. Na jego**

**twarzy malowalo sie napiecie.**

**Technicy, eksperci i tlumy zwyklych ludzi byly wszedzie. Oficerowie zajeci byli obowiazkami dnia powszedniego. Green przepchnal sie przez tlum do biurka, przy którym siedzial Bors, podparty dwiema magnetycznymi ramami.**

**–Prosze pana – rzekl Green. – Cos sie stalo.**

**Bors podniósł wzrok. Odsunal od siebie notatnik z metalowej folii i polozyl rysik. Komórki oczu trzaskaly i migotaly; gleboko wewnatrz jego wyniszczzonego korpusu zarzezily tryby silnika.**

**–O co chodzi?**

**Green podszedl blisko. Cos bylo w jego twarzy, wyraz, którego Bors nigdy przedtem nie widzial. Spojrzenie strachu i niewzruszonej determinacji. Usztywniona fanatyczna postac, cialo stwardniale na skale. – Prosze pana, nasi zwiadowcy weszli w kontakt z druzyna Ligi idaca na północ. Napotkali ich poza Fairfax. Wypadek mial miejsce bezposrednio za pierwszym punktem zablokowania drogi.**

**Bors nic nie mowil. Ze wszystkich stron oficjele, eksperci, farmerzy, robotnicy, menedzerowie przemyslu, zolnierze, ludzie wszelkiego autoramentu brzezeli i cos mówili niecierpliwie przepychajac sie do przodu i usilujac dotrzec do biurka Bors. Obarczeni problemami do rozwiazania, sytuacjami do wyjasnienia. Nie cierpiace zwloki sprawy codzienne. Drogi, fabryki,**

**kontrola zachorowan. Naprawy. Budowa. Produkcja. Projektowanie. Planowanie. Pilne problemy do odpowiedniego rozwazenia i potraktowania przez Bors. Problemy, które nie mogly czekac.**

**–Czy druzyna Ligi zostala zniszczona? – zapytal Bors.**

**–Jeden zostal zabity. Jedna ranna i sprowadzona tutaj. – Green zawahal sie. – Jeden uciekl. Przez dluzszy czas Bors milczal. Dokola niego ludzie cos mamrotali i halasowali, przechodzac z miejsca na miejsce; ignorowal ich. Az nagle przyciagnal do siebie widskaner i otworzyl z trzaskiem obwód. – Jeden uciekl? Nie podoba mi sie to.**

**–Zastrzelil trzech czlonków naszej jednostki zwiadowców. Wlacznie z liderem. Inni przestraszyli sie. Pochwycili zraniona dziewczynke i wrócili tutaj. Masywna glowa Bors uniosla sie. – Popelnili blad. Powinni byli zlokalizowac tego, który uciekl.**

**–To po raz pierwszy taka sytuacja...**

**–Wiem – powiedział Bors. – Ale był to błąd. Lepiej było ich wcale nie ruszać, niż zabrać dwoje, a trzeciemu pozwolić uciec. Obrócił się do widskanera. – Ogłosić pogotowie wyjątkowe. Zamknąć fabryki. Uzbroić załogi i wszystkich zdolnych do noszenia broni rolników płci męskiej. Zamknąć drogi. Przemieścić kobiety i dzieci do podpowierzchniowych schronów. Sprowadzić ciężkie działa i zaopatrzenie. Zawiesić wszelką produkcję niewojskową i – zastanowił się. – Aresztować każdego niepewnego. Z arkusza C. Rozstrzelać ich. – Wylaczył skaner.**

**–Co będzie? – zapytał Green wstrzasnięty.**

**–To, na co przygotowaliśmy się. Totalna wojna.**

**–My mamy bronie! – Green zawołał w podnieceniu. – Za godzinę będzie dziesięć tysięcy ludzi gotowych do walki. Mamy odrzutowe statki powietrzne. Ciężka artyleria. Bomby. Kapsułki bakterii. A co to jest ta Liga? Dużo ludzi z plecakami na grzbiecie.**

**–Tak – powiedział Bors. – Dużo ludzi z plecakami na grzbiecie.**

**–Jak oni mogą cokolwiek zrobić? Jak potrafi kupić anarchistów coś zorganizować? Nie mają struktury ani kontroli, ani centralnej władzy.**

**–Mają cały świat. Miliard ludzi.**

**–To jednostki! Klub, nie objęty prawem. Udział ochotniczy. A my mamy zdyscyplinowaną organizację. Każdy aspekt naszego życia gospodarczego operuje z maksymalną wydajnością. – My – pan – trzymamy wszystko pod kontrolą. Jedyne, co pan musi zrobić, to wydać rozkaz. Pusczyć całą maszynę w ruch.**

**Bors z wolną pokiwał głową. – To prawda, że anarchiści nie potrafią koordynować. Liga nie potrafi zorganizować się w wydajną i sprawną strukturę. To paradoks. Rząd w wykonaniu anarchistów... faktycznie to antyrząd. Zamiast rządzić światem, włóczy się po świecie dla upewnienia się, że nikt inny tego nie robi.**

**–To jak pies ogrodnika.**

**–Tak jak mówisz, oni rzeczywiście są ochotniczym klubem nie zorganizowanych indywidualności. Bez prawa ani centralnych władz. Nie utrzymują społeczeństwa – nie potrafią rządzić. Jedyne, co umieją, to przeszkadzać każdemu, kto próbuje. Wichrzyciele. Ale...**

**–Ale co?**

**–Tak samo było przedtem. Dwa wieki temu. Byli nie zorganizowani, nie uzbrojeni.**

**Ogromne tłumy bez dyscypliny i autorytetu. A jednak obalili wszystkie rządy. Na całym świecie.**

**–My mamy kompletną armię. Wszystkie drogi są zaminowane. Ciężkie działa. Bomby. Kapsułki. Każdy z nas jest żołnierzem. Jesteśmy obozem pod bronią! Bors głęboko zamyslił się. – Mówisz, że jedno z nich jest tutaj? Jeden z agentów Ligi?**

**–Młoda kobieta.**

**Bors dał znak ekipie naprawczej oczekującej w pobliżu. – Zabierzcie mnie do niej. Chce z nią**

**porozmawiać w czasie, który pozostał.**

**Sylwia obserwowała w milczeniu, jak umundurowani ludzie z wysiłkiem i stekaniem weszli do**

**pokoju. Zatoczyli się w stronę łóżka, zestawili dwa krzesła i ostrożnie położyli na nich masywny**

**ciężar.**

**Szybko rozstawili ochronne wsporniki, połączyli oba krzesła, włączyli magnetyczne chwytaki i**

**niepewnie wycofali się.**

**–W porządku – powiedział robot. – Możecie iść. Ludzie wyszli. Bors obrócił się w stronę kobiety na łóżku.**

**–Maszyna – wyszeptała Sylwia z twarzą pobladłą. – Jesteś maszyną! Sylwia z trudnością zmieniła pozycję na łóżku. Była słaba. Jedną nogą w usztywniającym opatrunku z przezroczystego plastiku. Twarz miała obandażowana, a prawe ramię bolało i pulsowało. Za oknem słońce późnego popołudnia przeswiecało przez zasłony. Kwiaty kwitły. Trawa. Żywopłoty. A za żywopłotem budynki i fabryki.**

**Przez ostatnią godzinę niebo wypełniały odrzutowce. Ogromne ich roje gnające z przebiegiem po niebie w kierunku odległych wzgórz. Szosa sunęły wozy ciągnące działa i ciężki sprzęt wojskowy. Ludzie maszerowali w szyku zwartym, rzędy żołnierzy ubranych na szaro, broni i helmy, i maski przeciwbakteryjne. Nie kończące się szeregi postaci, identyczni w swoich mundurach, wypuszczani spod tej samej matrycy.**

**–Duzo ich jest – powiedział Bors, wskazując na maszerujących ludzi.**

–Tak. – Sylwia spojrzala na zolnierzy przechodzacych spiesznie kolo okna. Mlodociani z wyrazem zatroskania na gladkich buziach. Helmy dyndajace u pasa. Dlugie karabiny. Manierki. Liczniki. Ochronne tarcze radiacyjne. Maski przeciwbakteryjne nalozone niewygodnie na szyje, gotowe do wlasciwego zalozenia. Byli wystraszeni. Niewiele starsi niz dzieciaki. Za nimi szli inni. Z rykiem przejechala ciezarowka ozywiajac scene. Zolnierze dolaczyli do innych.

–Beda walczyć – powiedzial Bors. – Bronic swych domów i fabryk.

–Cale to wyposazenie. Produkujece to, prawda?

–Tak jest. Nasza organizacja przemyslowa jest perfekcyjna. Jesteśmy totalnie produktywni. Nasze spoleczenstwo dziala racjonalnie. Naukowo. Jesteśmy przygotowani na te wyjatkowa okolicznosc.

Nagle Sylwia zdala sobie sprawe, co to byla za wyjatkowa okolicznosc. – Liga! Jeden z naszych musial uciec. – Podciagnela sie nieco. – Który z nich? Penn czy mój ojciec?

–Nie wiem – wymamrotal robot obojetnie.

Sylwie zdlawilo obrzydzenie i przerazenie. – Mój Boze – powiedziala lagodnie. – Ty nas nie rozumiesz. Wszystkim tym kierujesz, a niezdolny jestes do empatii. Jesteś tylko mechanicznym komputerem. Jednym ze starych rzadowych robotów integrujacych.

–To prawda. Mam dwiescie lat. Zatrwozyla sie. – I caly ten czas jestes przy zyciu. Myslelismy, ze zniszczylismy was wszystkich!

–Mnie to nie dosieglo. Bylem uszkodzony. Nie na swoim miejscu. Wywozono mnie ciezarowka z Waszyngtonu. Zobaczyłem te tlumy i uciekłem.

–Dwiescie lat temu. Legendarne czasy. Ty naprawde ogladales wydarzenia, o których nam opowiadaja. Te dawne dni. Wielkie marsze. Dzień, w którym upadly rzady.

–Tak, widzialem to wszystko. Grupa nasza sformowala sie w Wirginii. Eksperci, wyzsi urzednicy, wykwalifikowani robotnicy. Później przybylismy tutaj. To miejsce bylo dostatecznie odlegle, z dala od utartych szlaków.

–Slyszelismy pogloski. Jakas czesc... Nadal utrzymujaca sie. Ale nie wiedzielismy gdzie i jak.

–Mnie sie udalo – rzekl Bors. – Uciekłem szczeniowym trafem. Wszyscy inni zostali zniszczeni. Dluho trwalo, zanim to wszystko, co widzisz, udalo sie zorganizowac.



**Pietnascie mil stad jest pierscien wzgórz. Ta dolina to misa – góry ze wszystkich stron. Porobilismy zapory drogowe w postaci naturalnych zwalów skal. Nikt tu nie przyjezdza. Nawet w Fairfax, trzydziesci mil stad, nie wiedza nic.**

**–Ta dziewczyna. Laura.**

**–Czujka. Utrzymujemy druzyny czujek we wszystkich zamieszkanym regionach w promieniu stu mil. Gdy tylko weszlicie do Fairfax, zostalo nam to przekazane. Wyslano jednostke napowietrzna. Aby uniknac pytan, zaaranzowalismy wasza smierc we wraku samochodu. Ale jeden z was uciekl.**

**Sylwia potrasznela glowa, zdezorientowana. – Jak? – zapytala natarczywie. – Jak sie udaje wam trzymac? Czy ludzie nie buntuja sie? – Z wysilkiem przyjela pozycje siedzaca. – Oni musza wiedziec, co sie dzieje wszedzie indziej. Jak ich kontrolujecie? Wychodza teraz, w mundurach. Ale – czy beda walczyć? Czy mozecie na nich liczyc?**

**–Ufaja mi – z rozmyslem odpowiedzial Bors. – Przywiozlem ze soba rozlegla wiedze. Informacje i techniki utracone dla reszty swiata. Czy odrzutowce i widskanery i kable przesylove robione sa jeszcze gdziekolwiek na swiecie? Ja kryje w sobie cala te wiedze. Ja mam jednostki pamieci, cewki synaptyczne. To dzieki mnie maja co maja. Rzeczy, które ty znasz jako mgliste wspomnienia, wyblakle legendy.**

**–A co bedzie, gdy umrzesz?**

**–Nie umre! Jestem wieczny!**

**–Marniejesz. Musisz byc noszony. I twoje prawe ramie. Ledwo nim poruszasz? – Glos Sylwii byl ostry, bezlitosny. Twój caly tank jest poszczerbiony i pordzewialy.**

**Cos w robocie zafurczalo, przez chwile wydawal sie niezdolny do mówienia. – Pozostaje moja wiedza – wyrzezil wreszcie. – Zawsze bede w stanie komunikowac. Fowler przygotowal system nadawania. Nawet gdy mówie... Przerwal. – Nawet wtedy. Wszystko jest pod kontrola. Przewidzialem kazdy aspekt sytuacji. Utrzymuje ten system od dwóch stuleci. Musi nadal dzialac!**

**Sylwia gwałtownie ruszyła do akcji. Stalo sie to w ulamku sekundy. Jej opatrunkowy buciór na nodze zahaczyl o krzesla, na których spoczywal robot. Pchnela gwałtownie noga i rekami, krzesla zachwialy sie, zachybotaly...**

**–Fowler! – zaskrzeczal robot.**

**Sylwia pchala z calej sily. Oslepiajaca udreka bólu w nodze, zagryzla wargi i popchnela barkiem wyniszczona skorupe robota. Pomachal ramionami, dziko zafurczal, a potem oba krzesla wolno zalamaly sie. Robot zsunal sie z nich spokojnie na plecy, wciaz bezsilnie machajac ramionami. Sylwia zwlokla sie z łózka. Usilowala**

dotrzec do okna, złamana noga zwisała bezużytecznie, zbędny ciężar w przezroczystej plastikowej obudowie. Robot leżał jak jakiś nieporadny żuk, ramiona w ruchu, oko soczewki cykające, całe porządnie urządzenie, furczące ze strachu i wściekłości.

–Fowler! – zapiszczał znowu. – Na pomoc!

Sylwia dotarła do okna. Pociągnęła za zamki, były szczelnie zamknięte. Porwała ze stołu lampę i rzuciła w szybę. Szkło rozprysło się wokół niej, deszcz zabójczych kawałków. Zrobiła krok do przodu – i wtedy ekipa naprawcza zaczęła wypełniać pokój.

Fowler zachłysnął się na widok robota leżącego na plecach. Dziwny wyraz przebiegł mu po twarzy. – Spójrzcie na niego!

–Ratunku! – Wyl robot. – Pomocy!

Jeden z mężczyzn złapał Sylwie w pól i zawłócił z powrotem na łóżko. Kopala i gryzła, wbiła paznokcie w jego policzek. Rzucił ją na łóżko, twarzą do dołu, i wyciągnął pistolet. – Zostan tu -wysyczał. Inni pochylili się nad robotem, ustawiając go w pozycji pionowej.

–Co się stało? – spytał Fowler. Podszedł do łóżka z grymasem na twarzy. – Upadł? Oczy Sylwii jarzyły się nienawiscia i rozpacz. – Ja go pchnęłam. Już prawie tam byłam. – Piers jej falowała. – Okno. Ale moja noga...

–Zabierzcie mnie do mojej siedziby! – krzyczał Bors.

Ekipa pozbierała i zaniósła go korytarzem do prywatnego biura. Kilka chwil później siedział roztrzesiony przy biurku. Cały jego mechanizm wściekle kolatał, wszędzie leżały papiery i dokumenty.

Z trudem opanował panikę i próbował podjąć pracę. Musiał działać. Jego wideokran pełen był ruchu. Cały system był rozkrecony.

Pustym wzrokiem obserwował, jak jakiś dowodzący wysyłał w niebo chmure czarnych punkcików, odrzutowych bombowców, które poderwały się jak muchy i szybko oddaliły. System musi być. Powtarzał to wciąż. Musiał go uratować. Należało zorganizować ludzi i spowodować, żeby oni go uratowali. A jeśli ludzie nie będą walczyli, czyżby wszystko było wtedy przesadzone?

Ogarnęła go furia i desperacja. System sam przez się nie mógł się utrzymać; nie był jakimś samoistnym elementem, który można by oddzielić od żyjących w nim ludzi. W rzeczywistości to właśnie o ludzi chodziło. Obie strony były identyczne; gdy ludzie walczyli o zachowanie systemu, to walczyli tylko o zachowanie samych siebie. Istnieli

tylko tak długo, jak długo istniał system.

Dostrzegł maszerującą kolumnę żołnierzy o wyblakłych twarzach, posuwającą się w kierunku wzgórz. Jego starożytne cewki synaptyczne promieniowały i drgały niepewnie, aż wreszcie wpadły w normalny rytm. Miał za sobą dwa wieki życia. Zaczął istnieć dawno temu, w innym świecie. Ten świat go stworzył i dzięki niemu ten świat nadal żył. W miniaturze ten świat istniał, dopóki on istniał. Jego model wszechświata, jego odtworzenie. Jego racjonalny, kontrolowany świat, w którym każdy aspekt był w pełni zorganizowany, w pełni analizowany i integrowany. Utrzymywał racjonalny, postępowy świat przy życiu. Ożywiona oaza produktywności na pokrytej kurzem i wysuszonej do cna planecie rozkładu i ciszy.

Bors rozłożył papiery i zabrał się do pracy nad najbardziej palącym problemem. Przejście z gospodarki pokojowej do pełnej mobilizacji wojskowej. Totalne wojskowe zorganizowanie każdego, mężczyzny, kobiety, dziecka, kawalka wyposażenia i każdej dyny energii, pod jego kierownictwem.

Edward Tolby wynurzył się ostrożnie. Ubranie miał podarte w strzępy. Zgubił plecak pelzając wśród kolczastych jeżyn i dzikiego wina. Twarz i ręce krwawiły. Był kompletnie wyczerpany. Ponizej leżała dolina. Ogromna misa. Pola, domy, szosy. Fabryki, Urządzenia. Ludzie. Obserwował tych ludzi od trzech godzin. Nie kończące się strumienie ludzkie przelewały się z doliny między wzgórzami, wzdłuż dróg i ścieżek. Na piechotę, ciężarówkami, samochodami, w czołgach i pancernych transporterach broni. Nad głową, w małych szybkich odrzutowych myśliwcach i ocieziałych bombowcach. Byszczące statki powietrzne, które zajęły pozycje ponad oddziałami, i gotowały się do bitwy.

Bitwy w wielkim stylu. Mające już dwadzieścia lat wojny na pełną skalę, która miała jakoby przestać istnieć. Ale oto tu właśnie była jakaś wizja z przeszłości. Widział i oglądał to na starych tasmach i płytach używanych na kursach wprowadzających w obozach. Armia duchów przywrócona do życia, aby walczyć ponownie. Ogromna rzesza uzbrojonych ludzi

przygotowywanych do walki na śmierć i życie. Tolby zszedł ostrożnie. U podnóża kamienistego zbocza jakiś żołnierz zatrzymał swój motocykl i ustawiał antenę oraz nadajnik. Tolby okrzyknął go, przysiadł, podchodząc do niego w sposób mistrzowski. Jasnowłosy młodzieniec grzebał nerwowo w drutach, kablach i przekaznikach, oblizując niepewnie wargi, spozierając w górę i łapiąc za karabin przy każdym dźwięku.

Tolby wziął głęboki oddech. Młody człowiek odwrócił się do niego tyłem; przeglądał jakiś obwód zasilania. Teraz albo nigdy. Tolby zrobił jeden duży krok, wyszedł, podniósł pistolet i oddał strzał. Kupka sprzętu i karabin żołnierza zniknęły.

**–Tylko bez halasu – powiedział Tolby. – Rozejrzal sie ukradkiem dookola. Nikt nie widzial; główna linia przebiegala pół mili na prawo od niego. Słonce zachodzilo. Wielkie cienie opadaly na wzgórze. Zielone i brazowe dotad pola nasaczaly sie fioletem. – Rece za glowe i na kolana! Młody czlowiek przewrócił sie jak przestraszona kupka nedzy. – Co masz zamiar zrobic? – Zobaczył zelazytowa laske i kolor odplynal mu z twarzy. – Jesteś agentem Ligi!**

**–Zamknij sie – rozkazal Tolby. – Najpierw przedstaw wasz system odpowiedzialności. Kto jest twoim zwierzchnikiem?**

**Młodzieniec wyjakał, co wiedzial. Tolby sluchal z uwaga. Był zadowolony. Zwykla monolityczna struktura. Dokladnie to, czego chcial.**

**–A na samym szczycie – wtracil. – Na samym szczycie tej piramidy kto ma ostateczna odpowiedzialność?**

**–Bors.**

**–Bors! – zawyl Tolby. – To nie brzmi jak imie. Brzmi jak... – Przerwal, kiwnal glowa. – Powinnismy byli odgadnac! Stary rzadowy robot. Nadal funkcjonujacy. Młody czlowiek dostrzegl swoja szanse. Podskoczyl i pognal jak oszalaly. Tolby strzelil mu powyzej lewego ucha. Młodzieniec padl na twarz. Tolby pospieszyl do niego i szybko sciagnal ten ciemnoszary mundur. Naturalnie byl na niego za maly. Ale motocykl byl w sam raz. Widzial je na tasmach, chcial miec taki od dziecka. Maly szybki motocykl, którym mozna sie bylo wozic wszedzie. Teraz go mial.**

**W pół godziny później pedzil z rykiem silnika wzdluz gladkiej szerokiej szosy do srodka doliny i do budynków wznoszacych sie na tle ciemnego nieba. Reflektory wcinaly sie w czern, nadal przechylal sie z jednej strony na druga, ale w praktyce zlapal dryg. Zwiększył szybkość; droga przelatywala, mijal drzewa i pola, stogi siana, unieruchomiony sprzęt rolniczy. Caly ruch szedl w odwrotnym kierunku, oddzialy spieszyly na front.**

**Front. Lemingi wpadajace do oceanu, aby utonac. Tysiac, dziesiec tysiecy. Żołnierze uzbrojeni i czujni. Obladowani bronia i bombami, miotaczami ognia i kapsulkami bakterii. Ale byl jeden szkopol. Zadna armia nie stala im naprzeciw. Popelniono blad. Trzeba bylo dwóch stron do prowadzenia wojny, a tylko jedna zostala przywrócona do zycia. O mile za zgrupowaniem budynków zjechał z drogi i starannie ukryl motocykl w stogu siana. Przez chwile myslal, zeby zostawic swa zelazytowa laske. Ale wzruszył ramionami i pochwycil ja razem z pistoletem. Zawsze nosil swa laske, byl to symbol Ligi. Reprezentowala ona chodzacych pieszo anarchistów, którzy patrolowali caly swiat na nogach, swiatowa agencja ochrony. Przeskoczyl ciemność w kierunku zarysu budynków przed nim. Bylo tu mniej ludzi. Nie widzial kobiet i dzieci. Przed nim rozciagniety byl drut pod napieciem. Wojsko,**

uzbrojone po zęby, przykucalo za nim. Po całej drodze przesuwalo sie swiatlo reflektora, tam i z powrotem. Za reflektorem pietrzyly sie anteny radarowe, a za nimi jakas brzydka kwadratowa bryla betonu. Wielkie biura, w których miescila sie siedziba rządu. Przez chwile obserwowal reflektor. Wreszcie ustalil rytm jego ruchów. W blasku tym twarze

zolnierzy rysowaly sie wyraziscie, blade i skupione. Mlodziez. Nigdy nie walczyli. To ich pierwsza akcja. Byli przerazeni. Kiedy swiatlo minelo go, powstal i ruszyl w kierunku drutu. Natychmiast uslyszal trzask odbezpieczanego karabinu. Dwóch strazników podnioslo i niezrecznie skrzyzowalo przed nim bagnety.

–Pokaz papiery! – zazadal jeden z nich. Mlodzi porucznicy. Chlopcy, nerwowi chlopcy o bezkrwistych wargach. Bawiacy sie w zolnierzyków. Czujac litosc i pogarde Tolby zasmial sie zlosliwie i ruszyl naprzód.

–Zejdzcie mi z drogi!

Jeden z nich z niepokojem blysnal kieszonkowa latarka. – Stac! Jakie jest haslo na tej zmianie warty? – Zablokowal Tolby'emu droge bagnetem, który sciskal w drzacych dloniach. Tolby siegnal do kieszeni po pistolet i zastrzelil obu strazników, zanim zaczelo powracac swiatlo reflektora. Bagnety upadly z halasem, a on dal nura do przodu. Krzyki i postacie podniosly sie zewszad. Przejezte, przerazone krzyki. Bezladna bieganina. Noc rozjarzyla sie, gdy puscil sie biegiem, przykucnal, skrecil za rogiem magazynu dostaw, wbiegl po schodach i dostal sie do masywnego budynku przed nim.

Musial dzialac szybko. Sciskajac zelazytowa laske zanurzyl sie w ponury korytarz. Jego kroki rozbrzmiewaly echem. Jacys ludzie wpadali za nim do budynku. Wokól grzmialy eksplozje. Po jednej z nich caly fragment sufitu zamienil sie w popiól i runal tuz za jego plecami. Dotarl na schody i wspial sie pospiesznie. Doszedl do nastepnego pietra i chwycil za jedna z klamek. Cos zamigotalo za nim. Zrobil pół obrotu, szybko unoszac pistolet. Ogluszajacy cios poslal go na podloge. Runal na sciane wypuszczajac z reki pistolet. Jakis ksztalt z karabinem w dloni pochylil sie nad nim.

–Kto ty jestes? Co tu robisz?

Nie zolnierz. Jakis mezczyzna z nie golonym zarostem, w poplamionej koszuli i pogniecionych spodniach. Oczy nabrzmiale i czerwone. Wokól bioder pas z narzedziami, mlotek, obcegi, srubokret i lutownica.

Tolby podniósł sie z bólem: – Gdybys nie mial tej strzelby...

Fowler odsunal sie ostroznie. – Kto ty jestes? Na to pietra zolnierzom frontowym nie wolno wchodzic. Wiesz o tym. – Potem dostrzegł zelazytowa laske. – Boze –

odezwał się miękko. – Ty jesteś tym, którego nie dopadli. – Zasmiał się niepewnie. – Jesteś tym, który uciekł. Palce Tolby'ego zacisnęły się na łasce, ale Fowler zareagował natychmiast. Lufa karabinu z szarpnięciem podskoczyła, na jednej linii z twarzą Tolby'ego.

–Uważaj – ostrzegł Fowler. Lekko się obrócił; żołnierze wbiegali po schodach w pośpiechu, buty bebnily, wrzaski odbijały się echem. Przez chwilę wahał się, potem machnął karabinem w stronę schodów w przodzie.

–Do góry. Ruszaj! Tolby zamrugał. – Co...

–Do góry! – Lufa karabinu wbiła się w Tolby'ego. – Szybciej!

Zdezorientowany, Tolby ruszył szybko schodami do góry, Fowler tuż za nim. Na trzecim pięttrze Fowler silnie pchnął go przez drzwi. Lufa karabinu wbijała mu się w grzbiet. Znalazł się w korytarzu pełnym drzwi. Nie kończące się biura.

–Idź dalej – warknął Fowler. – Wzdłuż hollu. Szybciej! Tolby spieszył się, w głowie mu wirowało. – Co, do jasnej cholery, chcesz...

–Ja bym tego nigdy nie mógł zrobić – wysapał mu do ucha Fowler. – Nawet za milion lat. Ale to musi być zrobione. Tolby zatrzymał się. – O co chodzi?

Stali naprzeciw siebie wyzywająco, twarze wykrzywione grymasem, oczy rozpalone. – On jest

tam – uciął Fowler, wskazując karabinem drzwi. – Masz jedną szansę. Skorzystaj z niej.

Przez ułamek sekundy Tolby wahał się. Potem zdecydował. – Okay, skorzystam.

Fowler podążył za nim. – Uważaj, patrz, gdzie idziesz. Jest tam cała seria punktów kontrolnych.

Cały czas idź prosto, do samego końca. Tak daleko, jak tylko będziesz mógł. I, na łaskę boską,

szybko!

Głos jego zanikał, gdy Tolby nabierał szybkości. Dotarł do drzwi i otworzył je gwałtownie.

Żołnierzy i urzędników przybywało. Rzucił się na nich; rozsypali się na wszystkie strony.

Przedzierał się dalej, a oni podnosząc się głupawo szukali swych pistoletów. Przez

**kolejne drzwi**

**do wewnętrznego biura obok biurka, przy którym siedziała przestraszona, zdezorientowana**

**dziewczyna. A potem w trzecie drzwi, do alkowy.**

**Jakis młody człowiek o wścieklej twarzy poderwał się i zaczął panicznie szukać swego pistoletu.**

**Tolby był bez broni, uwięziony w alkowie. Jakies postacie już napierały na drzwi za nim. Scisnął**

**żelaztowa łaskę i cofnął się, gdy fanatyk o blond włosach zaczął strzelać na oslep. Grot energii**

**wybuchł o pół metra od niego; owionął go jezioro ognia.**

**–Ty parszywy anarchisto! – zawrzeszczał Green. Z wykrzywioną twarzą strzelał raz po raz. – Ty**

**morderczy szpiegu anarchistyczny!**

**Tolby cisnął żelaztowa łaskę. Włożył w to całą swoją siłę; łaska przeskoczyła w powietrzu gwizdzącym lukiem, prosto w kierunku głowy młodego człowieka. Green dostrzegł, jak nadlatywała i zrobił unik. Sprawny i szybki, odskoczył, z uśmiechem pozbawionym humoru. Łaska uderzyła w ścianę i potoczyła się z hałasem na podłogę.**

**–Twoja łaska wędrownicza! – wysapał Green i wystrzelił. Grot chybił go celowo. Green bawił się nim. Pochylony Tolby nerwowo szukał łaski. Podniósł ją. Green obserwował, z zeszywniałą twarzą i polyskującymi oczami.**

**–Rzuc jeszcze raz! – warknął.**

**Tolby skoczył. Wziął młodzieńca przez zaskoczenie. Green potknął się do tyłu, chrząknął i nagle zaczął walczyć z maniacką furją. Tolby był cięższy. Ale wyczerpany. Godzinami czołgał się, przebijał przez góry, maszerował bez końca. Był u kresu sił. Wrak samochodu, całe dni wędrowki. Green był w znakomitej formie. Jego krzepkie, sprawne ciało odwinęło się. Rece przesunęły się do góry, palce wbijały mocno w krtań Tolby'ego, a ten kopnął go w kroczki. Green zachwiał się, skurczył w konwulsji, zgiał z bólu.**

**–W porządku – wysapał Green z ohydny grymasem na pociemniałej twarzy. Reka wyszukała**

**pistolet. Lufa poszła do góry. Nagle polowa głowy Greena zniknęła. Z otwartych rak wypadł na**

**podłogę pistolet. Jego ciało jeszcze przez chwilę stało, potem powoli osiadło, jak nie wypełniony**

**człowiekiem garnitur.**

**Tolby dostrzegł wysuwającą się z za niego lufę karabinu... i tego mężczyźnego obwieszoną pasem z narzędziami. Człowiek ten machał do niego przynaglająco. – Pospiesz się! Tolby pognął przez hol wyłożony dywanem, pomiędzy dwiema dużymi migoczącymi złotymi lampami. Tłum oficjeli i żołnierzy wypadł za nim, potykając się, krzycząc i strzelając na oślep. Gwałtownie otworzył grube drzwi i stanął jak wryty.**

**Był w luksusowej komnacie. Draperie, bogata i ozdobna tapeta. Regaly z książkami, lampy. Rzut oka na elegancję przeszłości. Bogactwo dawnych dni. Grube dywany. Przyjemne ciepło. Ekran widokowy. Na drugim końcu pokoju olbrzymie mahoniowe biurko. Przy biurku siedziała jakaś postać. Pracowała nad stosami papierów, sprawozdań, kopiastych porcji materiałów. Postać ostro kontrastowała z przebogatym umeblowaniem. Był to duży, powyszczerbiany, metalowy kadłub, powyginany, zielonkawy, polatany i poreperowany.**

**Starodawna maszyna.**

**–Czy to ty, Fowler? – spytał robot.**

**Tolby podszedł bliżej, sciskając żelazną łaskę.**

**Robot obrócił się ze złością. – Kto to? Weź Greena i zanieś mnie do schronu. Jeden z posterunków blokujących drogę doniósł o jakimś agencie Ligi... – Robot przerwał. Jego zimne, mechaniczne okosoczewki swidrowały stojącego przed nim człowieka. Coś w nim stuknęło i brzęczało w niepewnym zadziwieniu. – Nie znam cie. Dostrzegł żelazną łaskę.**

**–Agent Ligi – powiedział robot. – Jesteś tym, który przedostał się. – Zrozumiał, co się stało. – Ten trzeci. Przyszędles tutaj. Nie zawróciles. – Jego metalowe palce błądziły niezrecznie po przedmiotach na biurku, potem w szufladzie. Znalazł pistolet i uniósł go niewprawnie. Tolby wytracił mu pistolet, który potoczył się z hałasem na podłogę.**

**–Uciekaj! – krzyknął do robota. – Ruszaj!**

**Ten pozostał na miejscu. Łaska Tolby'ego opadła w dół. Kruchy, złożony zespół mózgowy robota rozprysł się. Cewki, okablowanie, plyn przewodzący obsypały i**



oblaly mu ramiona i dlonie. Robotem wstrzasnal dreszcz. Cala jego maszyna rozkolatala sie. Wstal do polowy z krzesla, potem zatoczył sie i upadł. Cala dlugoscia rabnal u podloge, różne czesci i trybiki potoczyly sie we wszystkich kierunkach.

–Mój Boze! – powiedział Tolby, nagle dostrzegając to po raz pierwszy. Trzesac sie lekko, w

pochyleniu patrzył na resztki robota. – To był kaleka.

Ludzie otaczali go ze wszystkich stron. – On zabil Borsę! – Zaszokowane, osłupiale twarze. – Bors nie żyje!

Fowler podszedł wolno. – No, to go załatwiles. Teraz już nic nie zostało. Tolby stał trzymając w rękach żelaztowa łaskę. – Cholernie żalodne biedactwo – powiedział miekko. – Całkowicie bezbrony. Siedział sobie tutaj, a ja przyszedłem i go zabiłem. Nie miał żadnych szans. W budynku zrobił się dom wariatów. Żołnierze i różni urzędnicy ganiłi jak szaleni, przygnebieni bolesnie, histeryczni. Wpadali na siebie, gromadzili się w grupach, wrzeszczeli i wydawali różne bezsensowne rozkazy.

Tolby przepchnął się jakos, nikt nie zwracał na niego uwagi. Fowler zbierał resztki robota. Składał potłuczone kawałki. Tolby zatrzymał się obok niego. Trochę jak Humpty-Dumpty, jak takie wielkie jajo, stracone z plotu, którego nigdy już nie da się złożyć do kupy.

–Gdzie jest ta kobieta? – zapytał Fowlera. – Ta agentka Ligi, która tu sprowadzili.

Fowler powoli się wyprostował. – Zaprowadzę cie. Powiodł Tolby'ego przez zapchany

rozpedzonym tłumem korytarz w szpitalnym skrzydle budynku.

Sylwia podniosła się wojowniczo, gdy obaj mężczyźni weszli do pokoju. – Co się dzieje? – Rozpoznała ojca. – Tata! Dzięki Bogu. To ty się wydostałeś. Tolby zatraszał drzwi odcinając chaotyczne hałasy z korytarza.

–Jak się czujesz? Jak noga?

–Coraz lepiej. Co się stało?

–Dostałem go. Robota. Nie żyje.

Przez chwilę cała trójka milczała. Na zewnątrz, w salach i korytarzach ludzie gorączkowo biegali tam i z powrotem. Wiadomość już się rozeszła. Oddziały zbierały się w ciasnych grupach przed budynkiem. Zagubieni ludzie. Oddalający się od swoich placówek. Niepewni. Bez celu.

**–No i po wszystkim – powiedział Fowler. Tolby przytaknął ruchem głowy. – Wiem.**

**–Zmęcza się tym siedzeniem w okopach – powiedział Fowler. – Powoli będzie wracać. Gdy tylko dotrą do nich wieści, zdezerterują porzucając sprzęt.**

**–To dobrze – mruknął Tolby. – Im szybciej, tym lepiej. – Dotknął strzelby Fowlera. – Ty też, mam nadzieję... Sylwia zahała się. – Czy sędzisz...**

**–Co mam sędzić?**

**–Ze zrobiliśmy błąd?**

**Tolby skrzywił się w zmęczonym uśmiechu. – Akurat cholernie dobra pora, żeby teraz o tym myśleć.**

**–Robił to, co uważał za słusne. Zbudowali domy i fabryki. Cały ten teren... Produkuje wiele towarów. Patrzałam na to przez okno. Dalo mi do myślenia. Tyle zrobili. Bardzo dużo zrobili.**

**–Robili dużo broni – powiedział Tolby.**

**–My też mamy broń. Zabijamy i niszczymy. Mammy same minusy i żadnych plusów.**

**–My nie mamy wojny – odpowiedział cicho Tolby. – Po to, aby bronić tej fikusnej organizacji, jest tam, wśród tych wzgórz, dziesięć tysięcy żołnierzy. Czekają, żeby się bić. Czekają, żeby zrzucić te swoje bomby i kapsułki z bakteriami, żeby to całe miejsce funkcjonowało. Ale już dłużej nie będzie. Niedługo zrezygnują i powolutku wróca.**

**–Cały ten system rozpadnie się bardzo szybko – powiedział Fowler.**

**–On już nad tym nie panował. Dłużej już nie mógł zatrzymać zegara.**

**–Jakkolwiek było, stało się – powiedziała pod nosem Sylwia. – Zrobiliśmy swoją robotę. – Lekko uśmiechnęła się. – Bors zrobił swoje, a my swoje. Ale czas był z nami, a przeciw niemu.**

**–To prawda – zgodził się Tolby. – Zrobiliśmy swoje. I nigdy tego nie będziemy żałować. Fowler nie mówił nic. Stał z rękami w kieszeniach, milcząco patrząc przez okno. Palcami czegoś dotykał. Trzech ocalałych synaptycznych cewek. Nie naruszonych elementów pamięci z martwego robota, wziętych ukradkiem z rozrzuconych pozostałości po nim.**

**–Na wszelki wypadek – powiedział do siebie. – Na wszelki wypadek, gdyby czasy się zmieniły.**

**This file was created with BookDesigner program**

**bookdesigner@the-ebook.org**

**2011-02-24**

*LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/*